



ZAPISKI Z PODRÓŻY PO DANII

Jutro zaczynam kolejną podróż. Ruszamy z Igą na wyprawę po Danii, zaliczając po drodze zwiedzanie Berlina i wracając promem przez Szwecję. Czuje przed tą podróżą wyjątkowy niepokój. Nie lęk, ale niepokój właśnie - trochę bardziej niż zawsze straszę się, że coś się może wydarzyć i w związku z tym staram się perfekcyjnie przygotować wszystko do drogi, z drugiej jednak strony czuje taką głęboką, duchową ekscytację, wychodzą na wierzch jakieś przeczucia, że to będzie podróż w jakimś sensie niezwykła. Może w głąb siebie, może relacja z córką przejdzie do jakiegoś nowego, nieznanego mi wymiaru... No w każdym razie "coś" się we mnie dzieje i to coś nakłoniło mnie do pisania, po kolejnym długim czasie przerwy. Od podjęcia pisania powieści i ostatnich notatek w pamiętniku mijają dwa lata.

Więc próbujemy. Piszę od razu za siebie, Rozum, Ego i Duszę, bo pewnie będzie to nasze wspólne dzieło 😊 Na razie w formie dziennika, tak, jak kiedyś opisałem pobyt i wrażenia ze Sri Lanki. A może, za namową Iwonki, dam się skusić Instagramowi i zacznę publikować zapiski tam. O ile oczywiście wytrwam w pisaniu 😊.

No właśnie, od razu rzuciło mi się w oczy, że do tego wyjazdu przygotowuję się perfekcyjnie. Myślałem, że to słowo stało się już dla mnie obce w odniesieniu do mnie, że znam zło, jakie się za nim kryje i że wyrzuciłem już perfekcjonizm z moich zachowań. Tymczasem sposób, w jaki przygotowuję się do tej podróży, zaskakuje mnie samego. Fakt, każdy wyjazd w dużym stopniu planuję i organizuję, ale daję też przestrzeń na luz i przypadek, na to, co los przyniesie, na spontaniczność. A tymczasem teraz wszystko musi być "jak najlepiej" i przed czasem. Spakowany jestem od wczoraj, zwiedzania opracowane punkt po punkcie (na wypadek, gdyby Iga nie opracowała swojego planu zwiedzania) i w ogóle zachowuję się tak, żeby nic nie mogło mnie zaskoczyć. Zero tego luzu, który mam wsiadając na motocykl, gdzie często potrafię wyznaczyć tylko z grubsza kierunek w jakim jadę i toczyć się tam, gdzie akurat uznam, że fajniej skręcić.

Chcę coś sobie udowodnić?

Chcę zaimponować córce swoim ogarnięciem?

Zaraziłem się perfekcjonizmem od Iwony? A może, skoro Iwonka ostatnio nad swoim perfekcjonizmem pracuje, to jego część spadła na mnie, skoro w przyrodzie musi być równowaga?

Wierzę, że wytrwam teraz w pisaniu. To zawsze pozwala mi głębiej wejrzeć w siebie, a ostatnimi czasy zbyt rzadko to robię. Zatem – do dzieła! Jestem absolutnie przygotowany do wyjazdu, teraz jeszcze jadę na pożegnalne piwko z Jaśkiem, potem siusiu, paciorek i spać. A jutro – kolejna wyprawa w nieznaną, kolejna przygoda. Im bardziej to sobie uświadamiam, tym bardziej się cieszę.

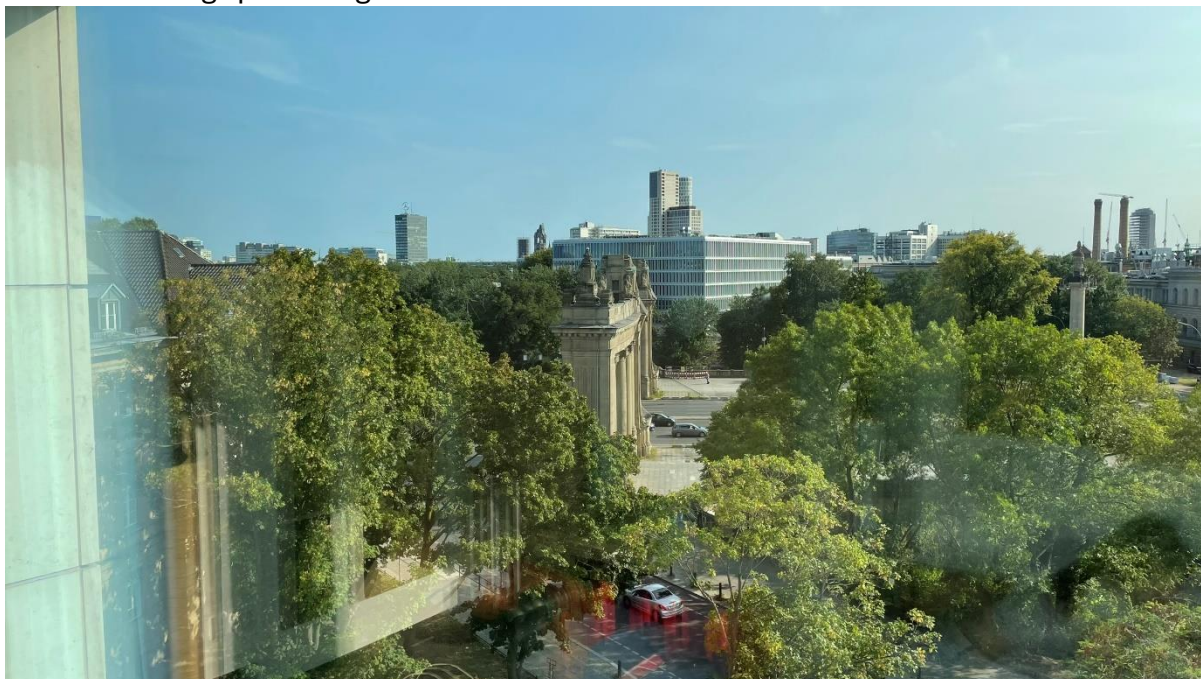
A plan podróży jest taki: jedziemy do Berlina, tam spędzamy popołudnie i cały następny dzień. Potem podróż do Aalborga, zwiedzanie północnej, nadmorskiej Danii, przejazd przez Legoland do Kopenhagi, dzień w Kopenhadze, przejazd przez Oresund do Malmo, tam zaokrętowanie na prom do Świnoujścia. No i powrót do Warszawy. Razem 8 dni zwiedzania prawie nieznanymi miejscami (w Berlinie i Kopenhadze byłem kiedyś przez chwilę

i zawsze chciałem wrócić; do Świnoujścia jeździłem na wczasy z rodzicami jakieś 40 lat temu i ciekaw jestem, co sobie z tamtych czasów przypomnę, a co mnie zaskoczy w tym niegdyś miłym kurorcie).

22 sierpnia 2024

Berlin

Ten dzień w zasadzie jeszcze zgadzał się z planem. Wyjechaliśmy z Igą prawie punktualnie, no bo czym jest 45 minut spóźnienia na starcie 😊. Podróż, zgodnie z przewidywaniami, nudna. Cały czas autostrada prosta jak drut, widoki monotonne, jak nie płaskie pola to lasy. Przez moment kusilo mnie, żeby zjechać do Świebodzina zobaczyć największego Dżizasa, ale nie chciałem już dokładać spóźnienia, bo przecież na popołudnie był plan zwiedzić Charlottenburg. Jazda Toyotą – nuda. Włączony aktywny tempomat i asystenci jazdy i prawie można było drzemać za kierownicą. A na pewno oddać się rozmyślaniom. Jedyna atrakcja to postój na stacji w Świecku, żeby ogarnąć szybko jakieś sprawy zawodowe. No i lekki nerw, kiedy okazało się, że w Berlinie paliwo tańsze niż w owym Świecku właśnie. Hotel zaskoczył pozytywnie – pokój co prawda mały, ale z panoramicznymi oknami na dwie strony i pięknym widokiem z 7 piętra na bramę Charlottenburg i park Tiergarten.



Po szybkim ogarnięciu wyszliśmy na zwiedzanie. Mapy pokazują, że do Schloss Charlottenburg mamy 40 minut marszu. Po drodze szukamy czegoś do zjedzenia, co zbija nas z wytyczonej marszruty, bo najwięcej knajpek jest przy ulicy w nieco innym kierunku. Jak zawsze lekka spina, bo Idze żadna knajpa po drodze nie pasuje, a sama nie wie czego chce. W końcu po paru minutach błędzenia docieramy do – jak to Iga skomentowała – baru mlecznego, czyli nie-do-końca-fast-foodu ze wszystkim, jest kuchnia włoska, arabska, turecka, grecka, hallal. My wybieramy burgery z halloumi. Naprawdę niezłe,

tylko to już druga biała buła dzisiaj po porannym hot-dogu na MOL-u. Czyli z dietą dziś na bakier. Po zjedzeniu ruszamy w dalszą wędrówkę i docieramy do zamku i ogrodów. Zamek/pałac tradycyjnie oglądamy z zewnątrz. Ogrody bardzo ładne, takie w stylu Wilanowa – duży park francuski przy pałacu, prowadzący do jeziora, a za jeziorem i dokoła rozległy park angielski. Oddajemy się fotografii – ja przyrodę i kwiaty (to dla Iwonki), Iga – ptactwo wodne i znalezione potem owieczki. Płaczymy się dość długo, potem spokojnym krokiem wracamy do hotelu, zahaczając jeszcze o sklep spożywczy. Według map Google, na piechotę zrobiliśmy 9 km.



23 sierpnia 2024

Berlin

Tego dnia zaczyna się konfrontacja z perfekcjonizmem. Rzecz pierwsza – zasypiamy. Iga nastawiła budzik na 7:30, ale go potem skasowała, więc budzimy się o 9:00 na ćwierknięcie mojego telefonu. A przecież mój plan zakładał, że po 9:00 wychodzimy zwiedzać. A tu dupa 😞 Ogarniamy się, idziemy na śniadanie (bardzo smaczne, w hotelu), wpadają mi jeszcze jakieś pilne służbowe sprawy do pozatłatwiania. Finalnie wychodzimy po 11:00 i kierujemy się do Tiergarten w stronę zoo. Które jednak postanawiamy zwiedzić. Iga jest zachwycona, chodzi od stworzenia do stworzenia żeby nic nie pominąć, więc w duchu godzę się, że 2 godziny tu spędzimy. No ale zoo jest duże i atrakcyjne, wciąga nas coraz bardziej (zwłaszcza akwarium), więc finalnie opuszczamy je... przed 16:00.



Iga sygnalizuje, że jest głodna i chce odpocząć, znajdujemy więc jakąś włoską knajpkę i wciągamy po porcji pasty. Więc „mój” plan zwiedzania zaczynamy realizować dopiero od 17:00. Więc już wiem o co chodzi z perfekcyjnym planowaniem – naprawdę nie warto, lepiej poddać się biegowi wydarzeń. Autobusem podjeżdżamy (w dodatku na gapę, bo kierowca ma zepsuty terminal, ale nas wpuszcza do środka, a mnie się nie udaje kupić biletów online) pod „Check-point Charlie”, czyli dawne przejście graniczne między Berlinem Zachodnim a Wschodnim, słynne z tego, że służyło za punkt wymiany szpiegów pomiędzy Rosjanami a Aliantami. Następnie kierujemy się przez Plac Poczdamski pod Bramę Brandenburską, skąd spacerujemy na Alexanderplatz. Tam upieram się, żeby wjechać na wieżę Berliner Fernsehturm i obejrzeć panoramę Berlina. A potem siadamy w knajpce żeby się czegoś napić, a finalnie kończy się to małą kolacją. Dziś dieta była zdrowsza, poza pastą na obiad praktycznie bez węglowodanów. Za kolację robił mi śledzik w remouladzie.



Robi się wieczór, Iga daje się namówić, żeby jednak wrócić do hotelu zbiorce, gdyż na piechotę wychodzi godzina i dwadzieścia minut marszu. A było go już całkiem sporo od rana. Mapy Googla zgłupiały i potraktowały wizytę w zoo jako punkt, w którym się nie nalicza dystansu (a byliśmy tam ponad 4,5h). Smartwatch zaś pokazał na koniec dnia 28 tys kroków i 19 km. Kilometry zawsze zawyża, szacuję więc że było ich 16; przez cały czas w 30-stopniowym upale. Wróciliśmy więc pociągiem. Tym razem Iga skrupulatnie dopilnowała, aby jednak kupić bilety. Niesamowita jest z tą swoją akuracnością i unikaniem ryzyka.

A informacja zwrotna dla mnie – plany potrafią się kompletnie wysypywać, ale i tak zwiedziłem tą część Berlina, którą chciałem. Oboje byliśmy więc zadowoleni.

Berlin (to znaczy centrum i Charlottenburg, bo tylko te dzielnice widzieliśmy) bardzo mi się podoba. Jest czysto, domy są ładne, wszystko jest takie z rozmachem i zadbane. Bardzo przypominał mi pod tym względem Wiedeń, a przede wszystkim Monachium. Chociaż to ostatnie miasto podobało mi się bardziej.

24 sierpnia 2024

Berlin - Aalborg

Dziś czekał nas najgorszy dzień, jeśli chodzi o podróż – z Berlina do Aalborga jest ponad 700 km. Wyjechaliśmy z hotelu o 10:00, porzucając plan, aby zajrzeć jeszcze do Muzeum Samurajów. W Aalborgu zameldowaliśmy się o 18:40, robiąc po drodze dwa krótkie postoje na stacjach benzynowych i rezygnując ze zwiedzania Lubeki. O dziwo zniostem podróż lepiej, niż zakładałem (kolejna nauczka – nie planuj, że droga Cię zamęczy, to wszystko jest w głowie). Prawie nie korzystałem z asystentów jazdy i tempomatu, aby wymóc na sobie większe skupienie i zainteresowanie drogą.

Trasa Berlin – Aalborg była najdłuższym odcinkiem do przejechania jednego dnia – około 730 km. Na wyjeździe z Berlina zgubiłem się w tunelu i pojechałem złym zjazdem. Drobiazg, ukradło ze 4 minuty, żeby wrócić na autostradę. Na tej całkiem niedaleko za Berlinem był wypadek, więc nawigacja szybko ”zdjęta” nas na lokalne drogi. Bardzo boczne – było ciasno, bez pasów na środku asfaltu i nawet między wsiami ograniczenie prędkości było do 70 km/h. Za to bardzo malowniczo. Drogi wity się przez niewysokie pagórki, pomiędzy ładnymi, zadbanymi wsiami, polami zbóż, które z czasem ustępowały miejsca kukurydzy. Na drodze wzorowy porządek, nikt nie wyprzedza, wszyscy karnie korzystają z objazdu. Kolejna fajna rzecz – po wyjeździe z jakiejś wsi jest od razu znak, za ile będzie następna. Fajnie pomaga to odczuwać podróż. Kolejna część drogi po powrocie na autostradę trudna do zapamiętania – autostrada z gatunku „tych niemieckich” czyli bez ograniczeń prędkości, więc podróż mijana szybko. Toyota w hybrydzie z niby dość dychawicznym silnikiem benzynowym ochoczo nabierała mocy i cały czas miałem na liczniku 150-160 km/h. Potem w okolicach Hamburga znów były zwykłe drogi, no i na koniec autostrada do Danii. W ogóle podoba mi się jazda po niemieckich drogach. Na autostradach jest porządek, tam gdzie nie ma ograniczeń prędkości trzeba czujnie patrzeć w lewe lusterko, ale nikt nie kozaczy, nie uprawia słalomu ani innych podobnych rzeczy. Dopiero przed granicą z Danią zaczął się korek. Na samej granicy było zwężenie do jednego pasa. No bo przecież Reich trzeba opuścić godnie i z szacunkiem... Tuż za granicą jazda zaczęła przypominać najgorsze polskie wzorce. Zaczęły się ograniczenia prędkości, więc... wszyscy grzecznie jadą wolno lewym pasem udając, że wyprzedzają tych na prawym, na którym normalnie nie ma prawie nikogo, tylko raz na jakiś czas zjawia się desperat wyprzedzający wagon na lewym pasie i próbujący wcisnąć się nań przed najbliższym tir-em. Zęby zgrzytają więc coraz głośniej. Na szczęście im dalej od granicy, tym sytuacja bardziej się normuje i zaczyna jazda znana mi choćby z Hiszpanii. Skoro na autostradzie jest ograniczenie do 130 km/h, to ci którzy jadą lewym pasem wyprzedzają z prędkością 132 km/h tych, co na prawym jadą 128 km/h. No bo porządek musi być. I trzeba przyznać, że po duńskich drogach jeździ się raczej karnie i bezpiecznie. Na autostradach, szczególnie bliżej Kopenhagi, lekko się przyspiesza i nie dziwi rząd aut sunących lewym pasem z licznikową prędkością całych 140 km/h. Ale Boże broń, nie szybciej. Za to na drogach lokalnych, gdzie obowiązuje 80km/h poza obszarem zabudowanym, raczej się nie kozaczy. Wszyscy grzecznie jadą w rzędki i zgodnie z ograniczeniem. Przez 3 dni jeżdżenia lokalnymi duńskimi drogami wyprzedził mnie jeden pojazd na holenderskich numerach i jedna taksówka, ale jak wiadomo, taksówkarz to stan umysłu, nie zawód, więc nie ma czemu się dziwić 😊.

Ale, pomijając dygresję. Droga mija miło do okolic fiordu Vejle. Potem zaczynają się wielodziesięciokilometrowe roboty drogowe, więc znów trzeba się snuć. Przed Aalborgiem autostrada znów odzyskuje swoje normalne parametry i do samego miasta jazda znów staje się przyjemna, pomimo narastającej senności. Pomaga jakiś lokalny „energetyk” i paczka słonych paluszków. W ogóle, duńskie autostrady są przyjemne. Najbardziej podobają mi się MOP-y – prawie zawsze są oddalone od drogi, w lesie, można realnie odpocząć, przejść się po leśnych ścieżkach czy posiedzieć na ławeczce pod drzewami. Dziwne są tylko wjazdy na autostrady z lokalnych dróg. Długa rozbiegówka poza autostradą wpada w nią i znika na około 50 metrach, trzeba bardzo czujnie włączać się do ruchu. W dodatku na takich „złączkach” dwa pasy stają się jednym, bo znikają

przerywane linie pomiędzy nimi i robi się zwężenie. Moim zdaniem bardzo niebezpieczne, zwłaszcza dla nieobycyego kierowcy, chociaż przez te 3 dni niebezpiecznych sytuacji nie doświadczyłem. Ale też ruch nie był duży, bo był to głównie weekend.

Hotel w Aalborgu, w przeciwieństwie do Berlina, jest kiepski. Pokój jest mikroskopijny, z mega ciasną łazienką-kabiną. Nie ma nawet jak położyć i otworzyć walizek; daje się to zrobić tylko na łóżku. Wyszliśmy od razu coś zjeść; Iga znalazła w pobliżu włoską knajpkę, w której zjedliśmy naprawdę pyszną pizzę z grzybami. Ciekawie zrobiło się przy płaceniu. Miałem kupiony ze sobą w kantorze banknot 500 koron duńskich. Tak „na wszelki wypadek”, gdyż Dania zasadniczo odchodzi od gotówki. Sprzedawca w kantorze uprzedzał mnie, żebym wszystko wydał, bo trudno jest potem odsprzedać duńskie korony w Polsce. No i postanowiłem zapłacić tym banknotem. W oczach przemitego kelnera (i chyba właściciela pizzerii) zobaczyłem rodzaj przerażenia – wziął banknot, głowił się nad nim przy kasie, wykonał telefon do kogoś, po czym wrócił do mnie z prośbą, abym jednak zapłacił kartą, gdyż... nie ma gotówki, aby nam wydać resztę 😊 Za dużą pizzę na spółkę i po małej buteleczce picia zapłaciliśmy prawie 200 koron (około 105 zł) i był to przedsmak drożyzny w Danii, jakiej mieliśmy doświadczyć.

Po kolacji poszliśmy się przejść. Dość randomowo wybrałem kierunek od centrum, zamiast do. Ale dzięki temu znaleźliśmy bardzo uroczy park Ostre Anlag. Gdy mijaliśmy pobliski kościół byliśmy świadkami dość zabawnego incydentu – jakiś człowiek krzyczał z wieży do grupy młodzieży stojącej pod kościołem, a następnie zaczął bić w dzwon. Następnie udaliśmy się w kierunku centrum, jednak kolejna fala deszczu skłoniła nas do powrotu do naszej „kabiny” najkrótszą drogą.



Na jutrzejszy dzień zaplanowałem spotkania z Wikingami i duńską przyrodą. I morzem! A co się wydarzy... ano, zobaczymy 😊

25 sierpnia 2024

Aalborg - Lindholm Hoje - Rubjerg Knude - Skagen (Grenen)

Po bardzo skromnym śniadaniu w hotelu (przekonałem się, że w Danii, a przynajmniej tam, gdzie nocowaliśmy, śniadania są nad wyraz skromne) wyruszyliśmy do Lindholm Hoje, miasteczka, a może dzielnicy na przedmieściach Aalborga, gdzie znajduje się Muzeum Wikingów. Całkiem przyjemne miejsce. W niewielkim budynku znajdują się dwie wystawy poświęcone kulturze ludów zamieszkujących Danię w pierwszych wiekach

naszej ery. Wystawa całkiem interesująca, chociaż kultura, jak na porównanie z wcześniejszymi cywilizacjami, dość prymitywna. Najprzyjemniejszym miejscem było jednak wzgórze, na którym znajdowało się mnóstwo ciekawych form kamiennych – kamienie poukładane w kształty obręczy, prostokątów i trójkątów. Według informacji, w ten sposób oznaczano miejsca pochówku, gdzie kształt tego specyficznego grobu wskazywał na płeć pogrzebanej tam osoby. Co ciekawe, na początku praktykowano obrzędy całopalenia, które z czasem ustąpiły miejsca „tradycyjnemu” grzebaniu zwłok w ziemi. Kamienne formy rzeczywiście robiły wrażenie, a smaczku dodawały wypasające się wśród nich owce.

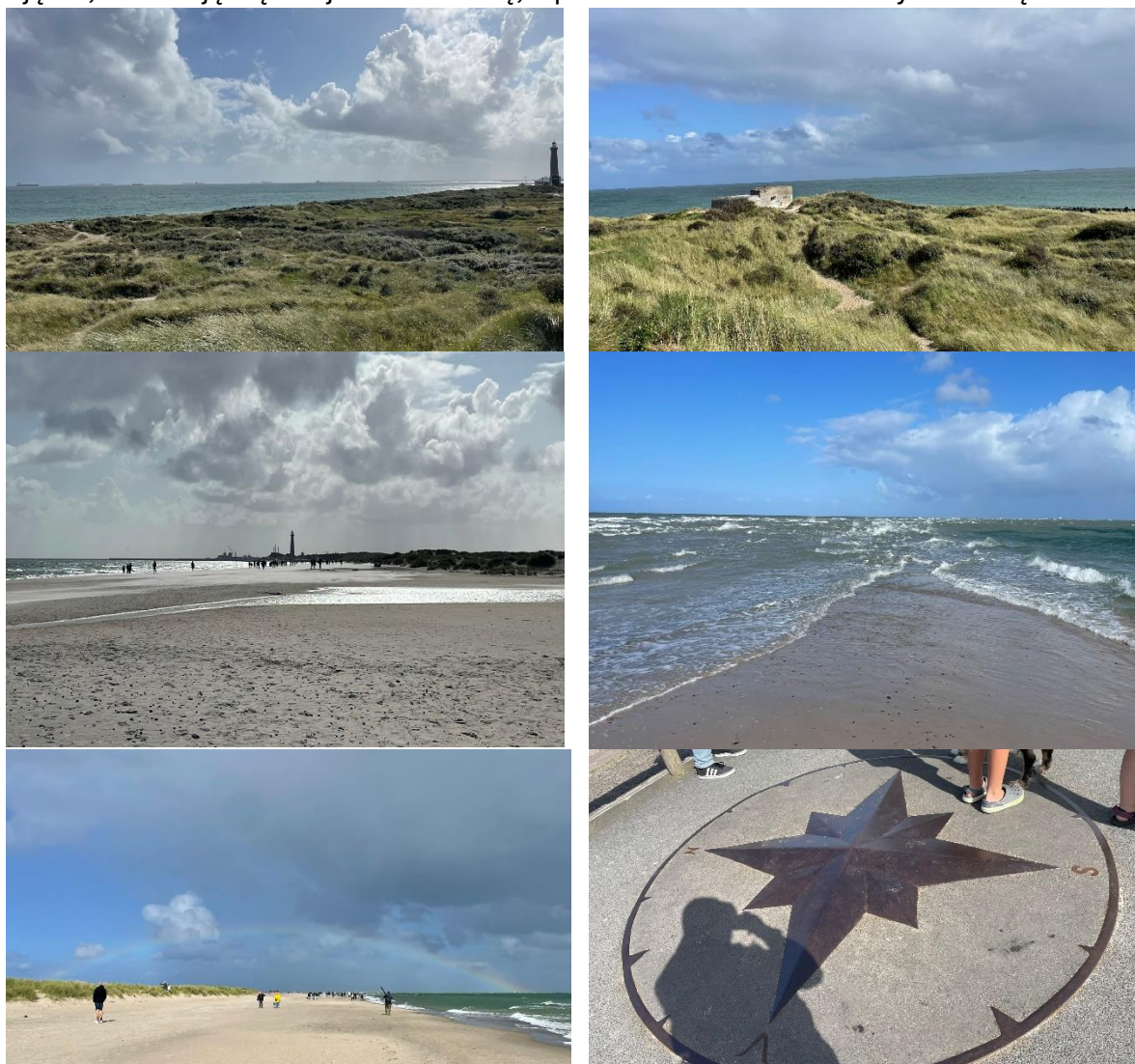


Kolejnym etapem wycieczki był(o) Rubjerg Knude – ogromna wydma nad Morzem Północnym ze stojącą na niej latarnią morską. Zaparkowaliśmy na jakimś dzikim parkingu w pobliskim lesie, jednak od tegoż parkingu prowadziła oznaczona ścieżka na wydmy. Po pierwszym, cichym i leśnym etapie doszliśmy w końcu do podnóża wydmy i... zwariowałem ze szczęścia. Było zimno – po upalnym Berlinie temperatura wynosiła zaledwie 16-17 stopni, wiało wściekle, przechodziły szarówki. A ja czułem, że wariuję ze szczęścia. Chyba morze było dla mnie ważne w którymś z wcześniejszych wcieleni. A może tak zakodowały mnie wakacje nad Bałtykiem spędzane z rodzicami we wczesnym dzieciństwie, ale poczułem w sobie jakieś dzikie energetyczne szaleństwo. Niemal wbiegłem na szczyt wydmy, nie bacząc na średnią kondycję i pozawałowy stan. A na szczycie stawałem twarzą do nawałnicy i śmiałem się jak szalony. Iga chyba trochę zaskoczona, ale też nie widzę u niej dezaprobaty. Wędrujemy wydumą (ja z podskokami) w stronę malowniczej latarni morskiej. Latarnia, jak wynika z opisów, była kilka lat temu przesunięta o kilkadziesiąt metrów w głąb lądu, gdyż osuwał się pod nią grunt. Jest dostępna dla turystów, więc wchodzimy od razu do środka i wychodzimy na górną platformę. Widoki cudne – surowe morze, wściekły wiatr, chmury gnające po niebie i odstaniające co chwilę błękit nieba i słońce, żółto-szary piasek. I wielka wdzięczność, że tego doświadczam wszystkimi zmysłami.



Z wydmy wracamy inną, "główną" drogą, którą jakoś przegapiłem wcześniej na mapach. Dochodzimy do asfaltowej drogi, którą następnie dochodzimy do leśnego parkingu, na którym pozostawiliśmy Toyotkę. Kolejny etap to plaża Grenen koło Skagen - miejsce, w którym zderzają się wody Morza Północnego i Bałtyku. Parkujemy nieopodal starych powojennych bunkrów na plaży. Do celu mamy około 25 minut spacerem po plaży. Jest równie dziko i niesamowicie jak w Rubjerg Knude, chociaż ludzi zdecydowanie więcej. Leniwi mogą skorzystać z transportu publicznego – przyczepy podpiętej pod ciągnik rolniczy. No ale oczywiście nie tak aktywni spacerowicze jak my. Po drodze dopada nas deszcz; na szczęście nie jest intensywny, przechodzą takie dwie czy trzy szarówki. Miejscami musimy też przeskakiwać przez strumyki wody wdzierające się w głąb plaży – jest zbyt chłodno, by pokusić się o zdjęcie butów, a piach jest twardy i wygodny do trekkingu w obuwiu. Tuż przed celem pojawiają się ostrzeżenia w kilku językach o całkowitym zakazie kąpieli - miejsce jest opisane jako bardzo niebezpieczne, fale tworzą wiry no i że nie, do wody uprasza się nie wchodzić. No i w końcu lądujemy na ostrym cyplu i rzeczywiście, widok niesamowity. Na lewo od cypla Morze Północne, na prawo Bałtyckie. Każde o trochę innym odcieniu, każde wzburzone, a fale rzeczywiście w

jednym miejscu spotykają się tworząc spektakularne gejzery wody. Strzelamy razem zdjęcia, delektujemy się miejscem i chwilą, a po kilku minutach ruszamy w stronę auta.



Teraz już spokojnie wracamy przez Frederikshavn do Aalborga na kolację. Wybór pada na wczorajszą pizzerię, jednak pizza grzybowa „zrobiona” wczoraj robotę i decydujemy się na repetę. Tym razem z kieliszkiem wina. Nie podejmuję już próby płacenia gotówką, szczęśliwie udało mi się ją upłynnić w wiosce wikingów. A potem idziemy na spacer po Aalborgu, który okazuje się naprawdę bardzo miłym miasteczkiem. Jest tu niezwykle czysto i schludnie, starówka urokliwa – na swój sposób, bo wszystko tu jest takie takie, jakbyśmy weszli do IKEI - architektura prosta, minimalistyczna, budynki bez zbędnych elementów, udziwnień, załomów, portyków, wnęk, nisz... Na mnie robi to bardzo dobre wrażenie, wszystko jest uporządkowane, a prosta architektura budynków jest ciekawym zabiegiem. Bo ta prostota nie jest architektonicznym ubóstwem, jakie na przykład często obserwowałem w krajach arabskich, gdzie domy były po prostu brzydkie. Tutaj widać, że prostota jest zamysłem, jakość materiałów, różnorodność domów, ciekawie wkomponowane skwery czy placówki pokazują, że jest efekt dość spójnej koncepcji. No i miasteczko wygląda zwyczajnie dostatnio.

Spacer przez miasto kończymy na nabrzeżu – w sumie nie wiem, czy bardziej rzeki, czy cieśniny. Wczoraj w porcie była głośna zabawa, która trochę dawała się we znaki w hotelu. Widziałem zacumowany okręt wojenny, który chciałem obejrzeć dzisiaj. Jak się okazało, wczoraj straciliśmy festiwal street-food`u, który właśnie się związał. A okręt znalazł się, zacumowany z pół kilometra dalej. Nie wiem, jakiej klasy była to jednostka, ale miał wywieszoną flagę Unii Europejskiej i banderę Kriegsmarine i wczoraj rzeczywiście był elementem imprezy miejskiej w porcie. Jakoś tak mimochodem pojawiło się skojarzenie z „przyjacielską wizytą” również niemieckiego pancernika Schleswig-Holstein z sierpnia 1938 na Westerplatte, jednak powstrzymałem się od chęci jak najszybszego wyjazdu z Aalborga i spokojnie wróciliśmy do hotelu. A tam urządziliśmy sobie kolacji część drugą – chipsy i precelki oraz wino (ja) i miód pitny z wikingowskiej wioski (Iga).







26 sierpnia 2024

Aalborg – Legoland – Kopenhaga

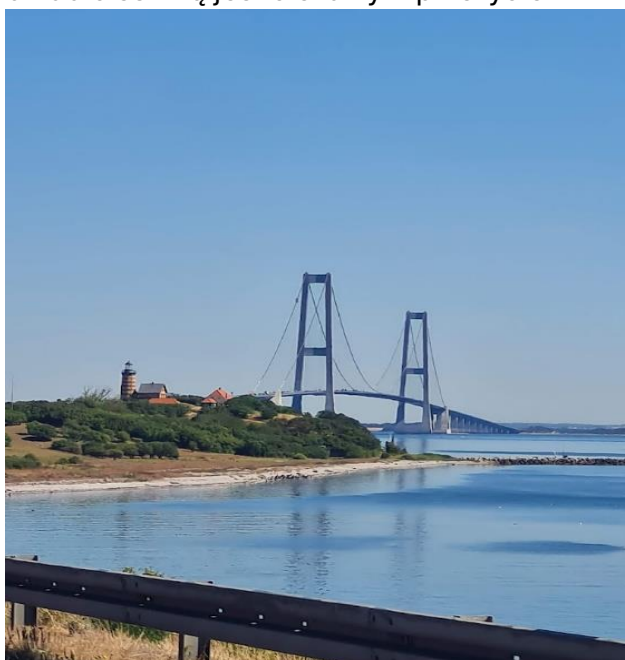
Kolejnego dnia sprawnie wyczekowaliśmy się z hotelu po kolejnym skromnym śniadaniu i udaliśmy na południe w stronę miasta Billund, słynącego z tego, że znajduje się tam olbrzymi park rozrywki Legoland. Na wizytę w którym moje wewnętrzne dziecko bardzo się cieszyło. Bo o ile parki rozrywki, rollercoastery i inne tego typu atrakcje nie bawią mnie szczególnie, no to jednak świat z klocków Lego to przywołanie dzieciństwa i młodzieńczych fantazji.

Pogoda w trasie trochę pod psem, jakieś przelotne deszcze no i upał w tej Danii w porównaniu z Berlinem zdecydowanie mniejszy. W Legolandzie też ma padać. Ale co tam. Dojeżdżamy, parkujemy, idziemy do wejścia. I zaczyna się zabawa. Park zaczyna się od części gastronomicznej (gdzie kupujemy sobie specjalne Lego-lody za miliony monet), a zaraz za nią jest park miniatur. Który jest światem z klocków. Makieta lotniska z kołującym Jumbo-Jetem, linia kolejowa, miniatury najbardziej znanych budynków, części miast, zamków, pałaców. Czyste szaleństwo, banan mi z ust nie schodzi a oczy nacieszyć się tym wszystkim nie mogą. Ale idziemy dalej. Park jest podzielony tematycznie, zgodnie z kolejnymi kolekcjami klocków. Wchodzimy do pawilonu Ninjago i zaliczamy przejazd kolejką połączony z muliaktywnym pokazem VR. Potem Iga decyduje

się na sptynięcie w canoe sztucznym wodospadem w westernowym miasteczku. Akceptuję to bez mrugnięcia okiem, gdyż oboje wiemy, o co kaman -11 lat temu na Sri Lance Iga strauumatyzowała się bardzo podczas raftingu i od tego czasu wzięła rozbrat z wodą – nie chodzi na basen ani na plażę, nie kąpie się, nie pływa żadnymi łódkami. Więc cieszę się, że dojrzała, żeby spróbować się przetamać i trzymam kciuki. I raczej wychodzi okej. Co prawda powiedziała mi potem, że nie było to szczególnie przyjemne, ale mówiła to z absolutnym spokojem. I w sumie nie wiem, czy nie chodzi o to, że o wiele większą przyjemność sprawił jej przejazd rollercoasterem. Co ja z kolei przeżyłem dość słabo (no nie lubię i już) i na drugą górską kolejkę Iga wybrała się już sama. Ja wybrałem zwiedzanie rycerskiego zamku.



Na takich przyjemnościach zeszyły nam prawie 4 godziny i na szczęście obyło się bez (większego) deszczu. Następnie ruszyliśmy w stronę Kopenhagi, która miała być naszą destynacją na kolejne dwie noce. Po drodze, kolejna z atrakcji, na jakie się tu przygotowywałem – przejazd mostem Storebaeltsbroen, łączącym wyspy Fionię i Zelandię nad cieśniną Wielki Belt. To potężna przeprawa, dwa mosty spięte maleńką wyspą Sprogø, cała przeprawa ma około 17 km długości. No i największe wrażenie robi potężny wiszący most wschodni, w najwyższym miejscu droga przebiega 65 metrów ponad poziomem morza, a wysokość pylonów utrzymujących most to 256 metrów. I rzeczywiście, przejazd nad cieśniną jest ciekawym przeżyciem.



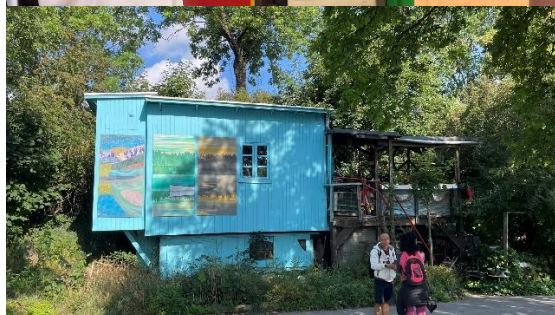
Dalej droga prowadzi nas spokojnie do Kopenhagi. Dojeżdżamy pod adres zarezerwowany na Booking.com i tu spotyka nas kolejna niespodzianka tego dnia. Jak robiłem rezerwację noclegów, byłem świadom, że w Kopenhadze (straszliwie drogiej) wynajmuję mieszkanie, nie pokój w hotelu. Tylko jakimś cudem nie doczytałem, że wynajmuję mieszkanie... z właścicielem. Czyli my z Igą mamy pokój i dostęp do wspólnej łazienki, a pan gospodarz (skądinąd przemiły starszy pan imieniem Esben) ma swój pokój i kuchnię, z której będzie nam serwował śniadania. Okej, po pierwszej konsternacji przekonujemy się, że mieszkanie jest czyste, miłe (choć jest takim raczej zamieszkałym muzeum pełnym posągów, figurek i innych bibelotów) a Esben jest dyskretnie wycofany i nie narzuca się ze swoją osobą. Ogarniamy się trochę i idziemy w miasto na kolację. Bardzo szybko znajdujemy plac, na którym króluje street food i zjadamy się greckimi burgerami. A następnie wypijamy po drinku, wracamy do pokoju i usypiamy snem sprawiedliwych po emocjonującym dniu.

Kopenhaga

Minął właśnie kolejny bardzo intensywny dzień. Nie piszę codziennie, bo albo wieczorem padam ze zmęczenia, albo współdzielimy mojego laptopa z Igą i właśnie jest jej wieczór. Jednak skreślę teraz kilka zdań. Jutro musimy wyruszyć z Kopenhagi o 7:30, aby zdążyć do Malmo na prom, więc pewnie wcześniej pójdę spać. Zwłaszcza, że zmęczony jestem okrutnie. Smartwatch pokazuje 30.700 kroków i 21,3 km, co oznacza, że było tych kilometrów z 18. Rekord wyprawy, jeśli chodzi o spacer, wypadł w Kopenhadze, która wydawała się dość nieduża, zwłaszcza przy Berlinie.

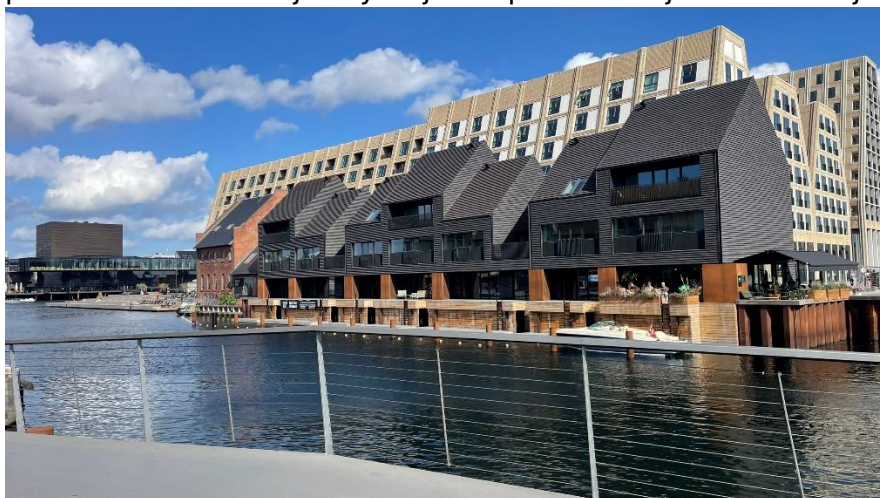
Ale, od początku. O ile śniadania w Aalborgu określałem mianem skromnych, to śniadanie u Esbena było wręcz spartańskie. Pieczywo, masło, po 2 plastry żółtego sera na osobę, odrobina dżemu i dzbanek z kawą. „W ramach wyjątku” dostaliśmy po mini-szklaneczce soku pomarańczowego. Pan Esben zażądał zapłaty za pokój w gotówce (jak na Danię to doprawdy wywrotowa postawa), więc odnotowałem w myślach, że muszę znaleźć dzisiaj jakiś bankomat. No i ruszyliśmy na zwiedzanie. Pogoda, w porównaniu z północą, bardzo się poprawiła; w ciągu dnia mieliśmy jakieś 25 stopni i przejściowe zachmurzenie, idealne warunki do łożenia po mieście. Pierwsze kroki skierowaliśmy do sąsiadującej z naszą kwaterą dzielnicy Christiania. To takie państwo w państwie, zamieszkałe przez hippisowskie komuny. Podobno mają tam swoje własne zasady i służby porządkowe i tak długo, jak nie dzieje się tam nic złego, oficjalne władze i policja nie interweniują. Obowiązuje całkowity zakaz posiadania narkotyków (oprócz marychy) i widoczne są ostrzeżenia, że kary posiadanie narkotyków na terenie Christianii są 3-krotnie wyższe niż normalnie. Jednym z praw Christianii jest zakaz biegania. Dzielnica jest niesamowita – dużo starych, zrujnowanych kamienic, śmieszne sklepiki z lokalnymi pamiątkami, ale też przedszkole, knajpki, kawiarnie o bardzo charakterystycznym hippisowsko-lewacko-karaibskim klimacie. A przy tym dość brudno, jak na generalnie czystą i zadbaną Danię. Taki – nie da się ukryć ciekawy i inspirujący – skansen, będący już chyba głównie atrakcją turystyczną.

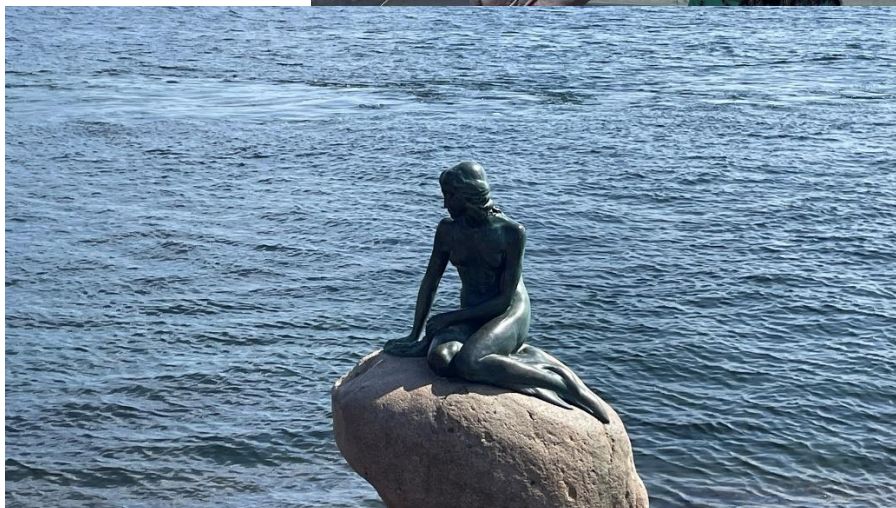




Z Christianii, poprzez plac Broens Gadekokken (miejsce naszej wczorajszej kolacji) oraz pieszy most Inderhavnsbroen dotarliśmy na Nyhavn, czyli najbardziej reprezentacyjny bulwar portowy Kopenhagi. Po posileniu się lodami o bardzo oryginalnych smakach

przeszliśmy przez park Amaliehaven, koło zamku Amalienborg w stronę fortyfikacji Kastellet i do słynnego pomnika Syrenki. A potem przez park Ostre Anlæg dotarliśmy do pięknego Ogrodu Botanicznego i palmiarni z niezwykłym pawilonem żywych motyli. A potem, po zaopatrzeniu się w dwa duże kubki buble tea, przez coś w rodzaju dużej starówki dotarliśmy na główną ulicę handlowo-gastronomiczną Stroget, głównie rozglądając się za jakimś obiadem. W końcu wylądowaliśmy w jakiejś włoskiej knajpce przy Nyhavn, gdzie 2 porcje makaronu, szklanka piwa i szklanka coca-coli kosztowały nas grubo ponad 300 zł. Natomiast lokal był bardzo dobry, z niezwykle miłą włoską kelnerką, która dosiadła się do nas i spokojnie doradzała Idźcie wybór wegetariańskiego dania, oraz równie spokojnie tłumaczyła, że nie ma czegoś takiego jak czerwone pesto i zielone pesto. We Włoszech jest tylko jedno pesto i ono jest zielone. I już. 😊







Dania jest w ogóle droga, ale Kopenhaga bije już wszelkie rekordy. Ponad 300 zł za prosty lunch dla dwóch osób. Ponad 250 zł kosztowała mnie doba parkingu na ulicy we wcale nie najdroższej strefie miejskiego parkowania. Najtańsza puszka piwa w 7Eleven (to taka ichniejsza Żabka) około 18 zł. Jak byłem w Kopenhadze pierwszy raz (a był to rok 2005)

pomiędzy Kopenhagą a szwedzkim Malmo krążyły duńskie promy przerobione na pływające supermarkety. Zaopatrywali się na nich Szwedzi, bo to była dla nich duża oszczędność w stosunku do Szwecji. Ciekaw jestem, czy od tego czasu Dania tak zdrożała, czy proporcje są dalej zachowane a Szwecja jest jeszcze droższa...

To taka finansowa dygresja. Posileni poszliśmy na kolejną porcję lodów a następnie do zamku Christiansborg, skąd spokojnie wróciliśmy na kwaterę. Przemity Pan Esben próbował wciągnąć mnie w polityczne dyskusje i podejście różnych krajów Unii do problemu migrantów. Przy okazji przyznał się, że prywatnie przyjaźni się z gen. Petelickim i zna dość dobrze sytuację w Polsce. Przyznał się również, że „do rannych ptaszków nie należy” i jeśli musimy wyjechać jutro o 7:30 to on śniadania (oficjalnie wliczonego w cenę) nie zagwarantuje, chociaż może kawę na drogę zaserwuje. W praktyce, opuszczając następnego dnia kwaterę, słyszeliśmy jedynie pochrapywanie dochodzące zza drzwi jego pokoju. Taki to był sympatyczny pan Esben. 😊

28 sierpnia 2024

Malmo, prom, Świnoujście.

Poranna podróż do Malmo przebiegła bez zakłóceń. Nasza droga wiodła kolejną wielką atrakcją, czyli przeprawą przez Oresund. Tutaj przeprawa jest podobnie długa jak most Storebaeltsbroen, ma około 16 km, z czego pierwsza połowa licząc od strony Kopenhagi biegnie tunelem pod dnem Bałtyku, a druga kolejnym imponującym mostem nad cieśniną Sund wprost do Malmo, do którego dotarliśmy ze sporym zapasem czasowym i najbliższą godzinę spędziliśmy czekając na odprawę promową.

Podróż promem była moim pomysłem, po pierwsze, żeby oszczędzić sobie drogi powrotnej dookoła przez pół Danii, a po drugie – zawsze to kolejna atrakcja. Znalazłem nowego na tej trasie przewoźnika, Finnline, który uruchomił w tym roku połączenie z Malmo do Świnoujścia, aby konkurować ze „starymi” przewoźnikami pływającymi do Świnoujścia z Trelleborga i Ystad. Prom – bardzo zadbane. Kupiłem nam kajutę, gdyż czas rejsu wynosił 9 godzin i nie było sensu siedzieć cały czas w restauracji albo na open space. Po dość muzealnym mieszkaniu Esbena, kabina lśniła czystością i białą pościelą. Po zaokrętowaniu udaliśmy się od razu na śniadanie, połączone z fotografowaniem wielkiego mostu, pod którym akurat przepływaliśmy.





Potem w kajucie przyciąłem sobie drzemkę – u Esbena nie sypiałem za dobrze, a na promie nie było ani Internetu, ani zasięgu sieci komórkowych. Czysty relaks. Przenieśliśmy się z czasem znowu do restauracji, usiedliśmy przy przedniej szybie i tam przy drinkach (Iga) i winie (ja) czas mijał nam na przyjemnych small-talks, podczas których starałem się poznać plany mojej 20-letniej studentki ostatniego roku psychologii zwierząt na resztę jej życia. I w takim to nastroju zawiniliśmy do Świnoujścia, którego byłem niezwykle ciekaw. Bywałem tam 2 czy 3 razy jako dziecko i młodzieniec; ostatni raz coś w okolicach 1986 roku, więc bez mała 40 lat temu. Byłem niezwykle ciekaw, jak wyjdzie konfrontacja tamtych wspomnień z miastem, które teraz ujrzę.

Świnoujście było naszym ostatnim noclegiem na trasie. Tutaj zarezerwowałem miejsca w bardzo ładnym (jak to oszołomiona Iga powiedziała „bardzo fancy”) hotelu Hampton by Hilton. Po szybkim ogarnięciu się ruszyliśmy „w miasto” i przy nadmorskim bulwarze, głównej turystycznej ulicy miasta, zjedliśmy smaczną kolację w czeskiej knajpce.

28 sierpnia 2024

Świnoujście

Następnego dnia bez pośpiechu zjedliśmy hotelowe śniadanie (jakże wykwinne i bogate po minimalistycznych duńskich śniadaniach) i po małym fakapie (wywaliłem tacę z brudnymi naczyniami i kilka stukłem 😊) poszliśmy na spacer. I okazało się, że ze Świnoujścia, poza plażą, nie pamiętam prawie nic. Praktycznie zero skojarzeń z miasta. Które to miasto zachwycało mnie teraz swoim wyglądem. Czytałem jakiś czas temu, że w Świnoujściu ceny nieruchomości są wyższe niż w Warszawie i że miasto znakomicie rozwija się na turystach z Niemiec. I rzeczywiście, wyglądem zasługuje na swoją dobrą opinię. Piękne stare przedwojenne wille mieszają się z nowoczesnymi apartamentowcami i hotelami. Niestety, część nowej zabudowy podchodzi pod linię brzegową, ale piękne parki w mieście (zwłaszcza Park Zdrojowy) oraz absolutnie przepiękna plaża sprawiają, że delikatna granica przekształcenia miasta w nowoczesną „betonozę” nie została przekroczona.

Bardzo chciałem znaleźć dom wczasowy, w którym mieszkałem w Świnoujściu ostatni raz z rodzicami. Miałem takie mgliste wspomnienia, że wtedy, w latach 80-tych miasto składało się ze starych, poniszczonych willi i kamienic, nad którymi dominowała bryła

nowoczesnego hotelu, w którym mieszkaliśmy. No i znalazłem. Wspomnienia odżyły na jego widok. „Rybniczanka”. Charakterystyczna elewacja i tarasiki przy każdym pokoju na każdym piętrze. Tyle że... wszystko wygląda teraz zupełnie inaczej. „Rybniczanka” jest chyba jednym z najbardziej zaniedbanych i zrujnowanych budynków w mieście. Zniszczona elewacja, wyblakłe kolory. Straszy swoją olbrzymią bryłą ponad otaczającymi ją domkami. Tymczasem stare wille są czyste, zadbane, odrestaurowane, zachęcają do tego, żeby wejść i spytać o dostępność wolnych pokoi. Tak to rzeczywistość skonfrontowała wspomnienia.

Poszliśmy potem z Igą na plażę, którą doszliśmy aż na sam skraj falochronu, przy którym stoi latarnia morska w kształcie charakterystycznego wiatraka. A stamtąd, okrężną drogą przez Park Zdrojowy wróciliśmy do naszej zaparkowanej pod Hamptonem Toyotki. I rozpoczęliśmy podróż powrotną do Warszawy. Spokojną i nudną, po drogach ekspresowych i autostradach, przerywaną rzadkimi postojami na stacjach benzynowych. Łączna podróż: 2785 km plus prom.





Pożegnałem Świnoujście z twardym postanowieniem, że chcę tu wrócić, może sam, może z Iwonką, może z Igą i spędzić tu kilka dni, przynajmniej przedłużony weekend, powłóczyć się po plaży w szumie wiatru, odwiedzić kilka okolicznych miejscowości z lat dzieciństwa, w których bywałem jeszcze w latach 70-tych XX wieku – Międzywodzie, Międzyzdroje, Dziwnów, Dziwnówek, Trzęsacz. Świnoujście rozbudziło we mnie falę wspomnień i chęć powrotu do miejsc, które były moimi pierwszymi dziecięcymi destynacjami poza Warszawę.



Aalborg, Kopenhaga, Warszawa – sierpień-październik 2024.